

Pierwsze spotkanie Mickiewicza z Wielkopolanami

Henryk Barański

Był rok 1829, kiedy Adam Mickiewicz opuścił Petersburg. Dalszy pobyt w stolicy carów nad Nową groził mu osobistym niebezpieczeństwem. Jego zetknięcia z postępowymi kłami rosyjskiego społeczeństwa, z Puszkim i dekabrystami, wzbudziły czujność III oddziału ochrony carskiej, która wytoczyła mu dochożenia z powodu ukazania się w Petersburgu „Konrada Wallenroda” mimo iż cenzura dała temu utworowi aprobatę. Gdyby nie interwencja wpływowych osobistości na dworze carskim księżnej Wołkońskiej i poety rosyjskiego Żułowskiego, następcy tronu Aleksandra, groziło Mickiewiczowi zesłanie na Sybir. Przyjaciele starali się go namówić, aby skorzystał z opieki możnych protektorów, którzy proponowali polskiemu poecie stanowisko attaché przy poselstwie rosyjskim w Brazylii lub Turynie, lecz Mickiewicz odmówił i prosił jedynie o pozwolenie wyjazdu za granicę. Życzeniu jego stało się zadość.

„Za kilka tygodni — pisze poeta z Petersburga — dla poratowania zdrowia za granicę wyjeżdżam za łaskawym J. C. Mości chlubnym dla mnie zezwoleniem. Dla szczupłości funduszów puszczam się najkrótszą drogą, to jest morzem do Lubeki, stamtąd w końcu mają ruskiego stanę w Dreźnie” (Listy, wyd. sejmowe, str. 436).

Mickiewicz wybrał więc „dla szczupłości funduszów” podróż z pominięciem Królestwa Polskiego i Krakowa, co zdecydowało o późniejszym zetknięciu się jego z Wielkim Księstwem Poznańskim. Podróż kołami z Petersburga przez Warszawę i Kraków i dalej za granicę była znacznie droższa od podróży morską. Nie od razu jednak z Lubeki Mickiewicz wyjechał do Drezn. Najpierw kołami udał się do Hamburga i tam po kilku dniach pobytu nie był zdecydowany, jak widać z jego listów, czy jechać wprost do Drezn, czy też zatrzymać się w Berlinie. Po namyśle poeta ruszył drogą na Berlin, dokąd przybył 6 czerwca 1829 roku. Tu nastąpiło jego pierwsze spotkanie z Wielkopolanami.

Poznań przez cały okres zaboru pruskiego nie posiadał uniwersytetu. Młodzież wielkopolska na studia wyższe jeździła do Wrocławia lub Berlina. Gdy Mickiewicz przybył do stolicy Prus, Wielkie Księstwo Poznańskie jako kraj rolniczy przechodziło wstrząs gospodarczy po uwłaszczeniu włościan dekretem z dnia 8 kwietnia 1829 roku. Postawie polscy na Sejmie 1827 roku i następnych walczyli o prawa zagwarantowane traktatem wiedeńskim z 1815 roku, a gwałcone przez Prusy, zwłaszcza w zakresie języka polskiego i obsadzania urzędów. Życie umysłowe po żywym okresie początków XIX wieku nieco osłabło. W Poznaniu ukazywała się jedynie „Gazeta Wielkiego Księstwa Poznańskiego”, lecz współczesne piśmiennictwo polskie cieszyło się wielką poczytnością. Mickiewicz był wówczas już znany i uwielbiany poetą narodowym.

Więć o przyjeździe Mickiewicza do Berlina wywołała wielką radość wśród przebywających tam Wielkopolan. Najobserwantsze relacje o jego pobycie pozostawił świetny krytyk i historyk literatury, profesor katedry slawistyki na uniwersytecie berlińskim, a później wrocławskim — Wojciech Cybulski (Odczyty o poezji polskiej. Poznań 1870).

Mickiewicz przybył do Berlina w lecie 1829 roku. „Wtedy — pisze Cybulski — między młodzieżą uniwersytecką

panowała wówczas harmonia, zgoda, pilność, braterstwo jak rzadko. Przybycie Mickiewicza harmonię tę podniosło jeszcze wyżej. Wszyscy ubiegali się o to, by Mickiewiczowi okazać uwielbienie lub ofiarować usługi. Co dzień miały miejsce zebrania prywatne i obiady, zwłaszcza że była to chwila jarmarku na wełnę, na który wielu obywateli z Poznańskiego przybyło.”

Podczas jednej z tych uciech, gdy już wstano i zaczęto coś śpiewać przy fortepianie, Mickiewicz nakazał milczenie. Wszyscy byli posłuszni. Poeta improwizował, śpiewając przy akompaniamentie fortepianu na nutę: „Za szumnym Dniestrem”. Pieśni tej, ponieważ nie było pod ręką ani papieru, ani ołówka, a wszyscy byli rozochoceni, nikt nie mógł śpisać. Przypominam sobie tylko cztery wiersze, które sam zapisałem:

Czy to z Litwy, czy Poznania
Chociaż różne nosim bronie,
Nie nam „bracia” nie zabrania
Wspólnie sobie podać dłonie.

Po obiedzie udano się do mieszkania poznańczyka Fulojusza Zakrzewskiego, gdzie gospodarz ofiarował poecie swój wiersz (zresztą marny) i uwieńczył Mickiewicza wieńcem laurowym. Poeta był tym tak ucieszony, iż kilka minut w naj wyższym natchnieniu improwizował.

Fragment tej improwizacji, o której pisze Cybulski, podał Karol Libelt w brzmieniu następującym:

Czesław Michniak

Stefan, urzędnik prezydium powiatowej rady narodowej w Wolsztynie, siedział w pewnej poznańskiej restauracji i kat. Był głodny i bębnił niecierpliwie palcami po czarnym, lśniącym blacie stolika.

W sali znajdowała się jeszcze pewna samotna dama,



zajmująca stolik obok drzwi. Mogła mieć około trzydziestki, niezłą tuszę i bardzo ładne, by stre, „niebieskie” oczy, którymi lustrowała od czasu do czasu Stefana. Egzamin wypadł pomyślnie, gdyż w pewnej chwili uśmiechnęła się, na co Stefan również odpowiedział uśmiechem. Zauważył, że pani ma długie, białe palce, obracając jakiś ekscentryczny pierścionek z korałem wielkości pestki od wiśni.

Stefanowi zrobiło się przyjemnie i lekko na duszy, spojrzawszy na nią z zainteresowa-

Niech mi Schiller albo Goethe
Wskaże równego poetę.
Ja, pan rymów, siłą ducha
Wskrzeszam temu, co mnie
słucha,
Z piersi — moje pieśni

Mickiewicz wrażenia swoje z obiadu wydanego na jego cześć podał w liście do Franciszka Malewskiego w słowach następujących: „Tutejsi Polacy dali mi obiad „ein wenig burschikos” (cokolwiek po burszowskiu). Wiele by o tym pisać. Cieszyłem się, iż muzyka u nich więcej kwitnie i pieśni mają pod dostatkiem i lepiej męć niż nasz fundamentalny Onufry Pietraszkiewicz”.

Gdy Mickiewicz był w Berlinie, żył jeszcze Hegel. Wykłady jego o filozofii ściągały setki słuchaczy. Poznańczycy, zwolennicy Hegla, zaprowadzili Mickiewicza na wykład o logice. Mickiewicz nie był nim zachwycony. Co prawda Hegel nie miał daru wymowy i trzeba było się do niej przyzwyczaić. Mickiewicz po wykładzie oświadczył, że wykładowca, który „niejasno mówi i sam się męczy przez całą godzinę nad wyjaśnieniem znaczenia dwóch pojęć: rozwoju rozumu i rozsadku, zapewne sam siebie nie rozumie”.

Ta różnica w ocenie Hegla przez poznańczyków i Mickiewicza nie osłabiła nieustającego dla niego uwielbienia. Zapoznano wkrótce Mickiewicza ze znakomitym profesorem uniwersytetu berlińskiego Ganssem. Miał wówczas wykłady o rewolucji francuskiej. Słuchała go cała młodzież uniwersytecka. Największa sala nie mogła pomieścić słuchaczy. Wiele myśli zaczerpnął z rozmów z Mickiewiczem. Nie wymienił polskiego poety w swym wykładzie, ale gdy przestał mówić, ujął Mickiewicza pod ramię i razem z nim opuścił salę.

(Ciąg dalszy na str. 2)

WIELBŁĄD

niem i uzyskał w zamian po nowny, życzliwy uśmiech. Za chwilę kelner przyniósł obojgu po porcji bigosu, przy czym pani jadła szybciej od Stefana. Widać nie chciała wyjść wcześniej, zanim on zje, bo zamówiła jeszcze flaszkę oranżady. Sączyła ją tak długo, aż Stefan nie przełknął wreszcie ostatniego ziemniaka, jaki pozostał na talerzu. Wtedy ona uśmiechnęła się po raz trzeci i poczęła aż Stefan niespokojnym, nerwowym ruchem włożyć na siebie podniszczoną jesionkę i wsadziła na głowę берет.

Pani wstała, okryła się futrem. Wyszedł z restauracji po kolei, naprzód ona, potem Stefan. Gdzieś koło Biblioteki Uniwersyteckiej Stefan panią minął, zaglądając jej w oczy. Ona wytrzymała to spojrzenie i nawet przyspieszyła kroku, aby się z nim zrównać, on zaś przyszedł jej z pomocą i nieco zwolnił.

— Wie pan — zaczęła takim tonem jakby Stefan był jej dobrym znajomym — zostawiłam synka u kuzynki i teraz idę do domu zobaczyć, czy on już tam jest. Och, jak ślisko — rzekła, pocierając bukiem o ubity śnieg na trotuarze. Stefan wziął ją pod rękę, z czego był bardzo dumny.

— Mama niechętnie gotuje, więc trzeba stolować się w restauracji. Pan rozumie, z męzem nie żyję — rzekła takim głosem, jakby stwierdzała, że w „Delikatesach” zabrakło pomarańczę. — Sprawa rozwodowa jest w sądzie. Ja go nie

Wśród nowoczesnych samochodów i riksów — na ulicach Karachi widzieć można zaprzęg wielbłądów, którzy jest obok ludzi — niezastąpioną i najtańszą siłą roboczą.

(Do reportażu na str. 3)

Jean Cathala

SAARA — „nagroda przechodnia”

Poniżej drukujemy fragmenty książki pt. „Zdraycy pokoju”, której autorem jest Jean Cathala, dyplomata francuski, uczestnik wydarzeń podczas konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw w Moskwie wiosną 1947 roku. Cathala opisuje kulisy brudnej transakcji ministrów zachodnich, w wyniku której rząd francuski dopomógł Waszyngtonowi i Londynowi w zerwaniu czterostronnej polityki w Niemczech i zaaprobował utworzenie separatystycznej republiki bońskiej, w zamian za... Saarę.

„Zaczęło się to 17 marca 1947 roku, kiedy jako pierwszy z trzech ministrów „zachodnich”, Bidault został przyjęty przez Stalina. Kilku członków delegacji francuskiej dało wyraz swej prawdziwej radości z zaszczytu, który spotkał ich szefa. Ale zapowiedź tej audyencji pogryzła Bidault w czarną rozpacz. Oto miał stanąć przed nim bez Marshalla, Murphya’ego lub chociażby Suzy *) jako suflerki! Francuscy dyplomaci, którzy opowiedzieli mi przebieg tego spotkania — a nie byli to debiutanci w dziedzinie dyplomacji burżuazyjnej — wyznali mi, że czerwienili się ze wstydu. Bidault zdemaskował się gruntownie. Wiem od tych samych naocznych świadków, że podczas gdy Stalin kilkakrotnie skierował rozmowę na problemy niemieckie, szczególnie na problem Rury, Bidault jednak ciągle z pijanym uporem mówił tylko o Saarze, dając tym dowód, że jest to napiwek, którym Waszyngton opłacił jego zdradę...”

Zgodnie z dyplomatycznymi zwyczajami, rozmowa ta pozostała ściśle poufną, ale 4 kwietnia Bidault powtórzył ją, tym razem przed najniebezpieczniejszym audytoryum — przed dziennikarzami. Pod gradem pytań, które spadały nań zewsząd, mimo czujności żony, towarzyszącej mu przy tej próbie, stracił

głowę. I oto nagle mieliśmy przed sobą tylko biednego człowieka o bladej twarzy, ze skurczonymi rysami, który mechanicznym głosem wyznawał strzępki prawdy. Następnie starał się je wyrwać z powrotem za pomocą jakiegoś nroczyściego ogólnikowego zdania, wygłaszanego tonem profesorskim: ale zaatakowany z drugiego końca sali — zaczynał znowu zdradzać wszystkie tajemnice.

Wyznał przede wszystkim, że na marginesie konferencji odbywały się tajne rozmowy z Marshalllem i Bevinem, dotyczące zawarte porozumienie między trzema ministrami zachodnimi, dotyczące zrzeczenia się przez Francję udziału w kontroli Rury w zamian za węgiel Saary. Najbardziej nerwowi oskarżali Pertinaxa o „nieuczciwość” i „sabotowanie porozumienia”. Ambasador zapewnił mnie, że telegramy Bidault brzmiały zupełnie inaczej — czemu chętnie wierzę — bo telegramy te były przeznaczone dla rady ministrów, w której zasiadali jeszcze patriotyczni komuniści.

Alphand wyznał dyplomatycznie: „Saara nam wystarczy. Inie to nie pomogłoby Rosjanom, gdybyśmy upierali się przy naszych żądaniach w stosunku do Rury”.

Od tej chwili zmiana frontu nie była już dla nikogo niespodzianką. Na zebraniu ministrów w dniu 10 kwietnia Bevin oświadczył, że zgadza się z żądaniem Bidault w stosunku do Saary. Mały człowieczek uśmiechnął się uśmiechem żarłocznego chłopca, który usłyszał dzwonek na obiad. Mechanizm został wprawiony w ruch: Marshall szczególnie mocno podkreślił, że oddzielenie Saary od Alzacji i Lotaryngii jest niemożliwe. Wieczorem na konferencji prasowej dla dziennikarzy francuskich przedstawiciel Quai d’Orsay — Offroy, oświadczył tonem dramatycznym: „Teraz wszystko zależy od Rosjan”.

„Pozostawało więc już tylko sporządzenie aktu sprzedaży niepodległej Francji Departamentowi Stanu. 16 kwietnia Bidault był na śniadaniu u Bevina. 20 kwietnia wezwał go Marshall. Tegoż wieczora zostało podpisane sławetne „porozumienie węglowe”. Stało się to po kryjomu, jak przystało dla czynów hańbiących. Przyszłość wykazała, że świadomie skomplikowane klauzule nie dały przemysłowi francuskiemu ani jednego grama węgla, którego tak potrzebował przemysł metalowy. Był to natomiast kamień węgielny pod budowę nowego „bloku zachodniego”, który doprowadził do stworzenia arsenału wojennego wskrzeszonych Niemiec militarnych.”

NOVELA

naczką, teraz, to pan rozumie, urwał się...

Stefan skinął głową, że rozumie.

— Proponuję mi — rzekła jakby trochę ociężale — dwie godziny dziennie pisanie na maszynie w zespole adwokatów, choć właściwie to mogłabym nie pracować, bo mój mąż oddaje mi połowę swojej pensji. On mnie kocha — powiedziała obojętnie.

Szli teraz parkiem. On ją trzymał pod rękę, czując ciepło jej ciała, przenikające futro. Poczuli lekki zawrót głowy. Zwiły wargi językiem.

— Mieszkanie mamy wcale owszem — mówiła dalej, jakby chciała go oślnić perspektywą odwiedzin. — A pan żonaty, kawaler? — zagadnęła z ciekawością. Nie zdążył odpowiedzieć. — A zresztą, co mnie do tego, niech pan będzie tym, z czym panu wygodniej...

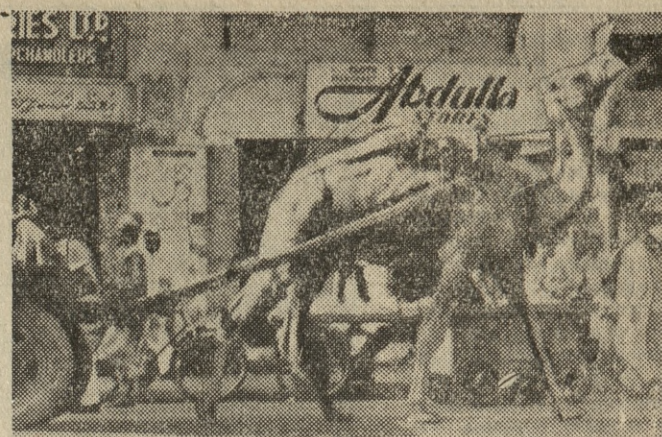
Błąkali się jeszcze chwilę po alejkach, po czym wolno skręcili w ulicę Różaną. Stefanowi zaczęło dokuczać zimno, tarł sobie uszy.

— Och — zachichotała — jak panu śmiesznie zmarł nos, czerwony jak u pijaka. Ha, ha, ha — wybuchnęła fajerwerkami dzwicznego śmiechu.

Stefanowi zrobiło się trochę głupio. Ale uścisku nie zwolnił.

— No, a pani tak samotnie, tego, no?... — zdobył się wreszcie na odważne pytanie.

(Ciąg dalszy na str. 2)



Kiedy stało się oczywiste, że biedny człowiek nie zatuszuje już wrażeń, jakie wywołał, Suzy, która przyglądała się katastrofie, maskując swą rozpacz wspaniałym kupieckim uśmiechem, pospiesznie kazała obnosić napoje chłodzące — „bez alkoholu” — dodał Bidault — ponieważ dziś jest Wielki Piątek — i zebranie zostało zamknięte! Lecz ci, którzy dobrowolnie nie ogluchli, nasłuchali się dosyć!

Do tych ostatnich należał Pertinax. W porozumieniu z innymi informatorami uzupełnił sobie bez trudu wskazówki dostarczone przez Bidault. Nazajutrz w środowisku delegacji francuskiej powstała straszliwa konsternacja, kiedy dalekopis hotelu Moskwa, który podawał nam co dzień przegląd prasy paryskiej, retransmitował depeszę, jaką dziennikarz przesłał poprzedniego dnia do „France Soir”. Podawała ona, że zostało zawarte porozumienie między trzema ministrami zachodnimi, dotyczące zrzeczenia się przez Francję udziału w kontroli Rury w zamian za węgiel Saary. Najbardziej nerwowi oskarżali Pertinaxa o „nieuczciwość” i „sabotowanie porozumienia”. Ambasador zapewnił mnie, że telegramy Bidault brzmiały zupełnie inaczej — czemu chętnie wierzę — bo telegramy te były przeznaczone dla rady ministrów, w której zasiadali jeszcze patriotyczni komuniści.

Alphand wyznał dyplomatycznie: „Saara nam wystarczy. Inie to nie pomogłoby Rosjanom, gdybyśmy upierali się przy naszych żądaniach w stosunku do Rury”.

Od tej chwili zmiana frontu nie była już dla nikogo niespodzianką. Na zebraniu ministrów w dniu 10 kwietnia Bevin oświadczył, że zgadza się z żądaniem Bidault w stosunku do Saary. Mały człowieczek uśmiechnął się uśmiechem żarłocznego chłopca, który usłyszał dzwonek na obiad. Mechanizm został wprawiony w ruch: Marshall szczególnie mocno podkreślił, że oddzielenie Saary od Alzacji i Lotaryngii jest niemożliwe. Wieczorem na konferencji prasowej dla dziennikarzy francuskich przedstawiciel Quai d’Orsay — Offroy, oświadczył tonem dramatycznym: „Teraz wszystko zależy od Rosjan”.

„Pozostawało więc już tylko sporządzenie aktu sprzedaży niepodległej Francji Departamentowi Stanu. 16 kwietnia Bidault był na śniadaniu u Bevina. 20 kwietnia wezwał go Marshall. Tegoż wieczora zostało podpisane sławetne „porozumienie węglowe”. Stało się to po kryjomu, jak przystało dla czynów hańbiących. Przyszłość wykazała, że świadomie skomplikowane klauzule nie dały przemysłowi francuskiemu ani jednego grama węgla, którego tak potrzebował przemysł metalowy. Był to natomiast kamień węgielny pod budowę nowego „bloku zachodniego”, który doprowadził do stworzenia arsenału wojennego wskrzeszonych Niemiec militarnych.”

Opr. REN

*) Żona Bidault, agentka wywiadu amerykańskiego — przyp. red.

W ostatnich dniach ze-
spół Państwowych
Teatrów Dramatycznych
w Poznaniu obchodził 10-
lecie swej działalności. U-
roczystość ta odbyła się w
dniu 18 marca — w 10
rocznicę wystawienia na
scenie Teatru Polskiego
pierwszej polskiej imprezy
pt. „Poranek artystyczny”.

Pamiętamy dobrze to
wzruszenie, z jakim czy-
tało się wówczas pierwsze
afisze, zapowiadające pol-
ski program: prolog „War-
szawianki” Wyspiańskie-
go, wyjątki z „Pana Ta-
deusza”, uwertura z „Hal-
ki”...

Z okazji obchodzonego
jubileuszu naszych tea-
trów, warto dziś przypom-
nieć również nazwiska
tych, którym zawdzięcza-
liśmy odrodzenie naszej
sceny — tuż po zakończe-
niu działań wojennych.
Pierwszym kierownikiem
Teatru Polskiego, który
jeszcze w czasie walk o
Poznań w znacznym stop-
niu przyczynił się do za-
bezpieczenia majątku tea-
tru, był Marian Mirski.



Do ocalałego gmachu
Teatru zaczęto potem
ściągać pierwszych pionie-
rów-artystów, którzy wy-
stąpić mieli przed pu-
blicznością poznańską z
polskim repertuarem.

18 marca 1945 r. na „Po-
ranku artystycznym” po-
znaniacy gorąco witali za-
służoną i znaną artystkę
Katarzynę Żbikowską, Bro-
niślawę Mikołajczaka, He-
lenę Kwaśniewską, dyry-
genta Wiktora Buchwalda,
Janinę Marisównę i Witolda
Szpingera.

Z początkiem kwietnia
1945 r. rozpoczął pracę
pierwszy dyrektor Teatru,
W. Stoma. Dzięki prawdzi-
wie ofiarnej pracy całego
zespołu aktorskiego i tech-
niczno-możliwym już w
dniu 17 kwietnia 1945 r. o-
glądać na scenie Teatru
Polskiego pierwszą pre-
mierę, którą była sztuka
Zeromskiego pt. „Uciekla
mi przepióreczka”.

Na zdjęciu — Marian
Mirski w roli Pysznickie-
go („Krakowiacy i Gó-
rale”).

(Dokończenie ze str. 1)

Znowu strzeliła śmiechem.
— Ha, ha, ha. No więc słuchaj, mój miły panie! W Po-
znaniu trzeba zachować pew-
ne pozory — śmiała się ciągle
— proces jeszcze w toku. Ale
byłam niedawno w Cieplach.
Miałam, mój kochany, trzech
adoratorów. Jednym
był właściciel zakładu fotogra-
ficznego z Warszawy, trochę
stary, ale przy forsie. Samo-
chód, skórzane palto, smok na
wieczór. Z nim jeździłam na
wycieczki. Miał trzecią żonę,
z którą się rozwodził. Z pier-
wszą miał troje dzieci, z dru-
gą dwoje, no, z tą ostatnią ty-
ko jedno. Następnym był pe-
wien inżynier z Łodzi, eleganc-
ki, czysty, pachnący, tak, jak
ja lubię, połączenie wody ko-
łońskiej z „Wawelami”. Ale
za to ograniczony, mój ty Bo-
że, ciągle rozprawiał o pro-
dukcji i normach. A poza tym
ciamajda!

— No i jeszcze kapitan ma-
rynarki, lew morski — nasro-
żyła się — dzielny, śmiały, od-
ważny, z orderami, aczkolwiek
trochę brutalny. Tylko jego
kochałam — westchnęła. —
Ale później okazało się, że za-
den z niego kapitan marynar-
ki. UB zamknęło. Podobno
szpieg...

Stanęli wreszcie przed cze-
ropiętrową kamienicą.

— O widzi pan, mieszkamy
tam — wskazała na kilka
oświetlonych okien obok bal-
konu. — Piętro niżej mieszka-
ją Dworakowie, nasi znajomi.
To są ludzie bogaci, bywamy
czasami u siebie. Mój mąż ich
nie lubi. Dworak ma takie
drobne przedsiębiorstwo — na
prawia bilardy, maszyny do pi-
sania, liczenia... Oni się świet-
nie urządzili! Opowiedzieć pa-
nu?

Stefan skinął posłusznie głową.

— Ona jest od niego o 10
lat starsza i w dodatku brzyd-
ka. Taka ropucha — skrzywiła
się. — I pomyśl pan. Ta sta-
ra ma kochanka 12 lat od
siebie młodszego. Mąż jej, ten
Dworak, o wszystkim wie i
nawet utrzymuje tego pana,
który jest takim sobie, no, in-
teligentem pracującym, podob-
no jakiś magister. Kupił mu
ubranie i buty. Koronę mu na
głowie wsadził, byleby się tylko
żona od niego odcepiła. Wó-
ża tylko czasami własnym sa-
mochodem, żeby znajomi wi-
dzeli. A sam ma kochankę o
15 lat młodszą, którą rozwodził
z mężem za cenę willi pod
Opalenicą. Willę podarował
swoje ukochanej. Mówię panu,
róże, azalie, komfort. Oczywiście
rozwiedzionemu mężowi
też się coś dostało. I tak żyją
we czwórce i co najdziwniej-
sze, że wszyscy o sobie wie-
dzą. No i co, miły panie, na-

wet nie wiem, jak panu na
imię? — zmieniła nagle temat.

— Stefan — rzekł trochę
niechętnie. To opowiadanie
przejęło go zgrozą. Siedząc la-
tami w Wolsztynie, obraca-
jąc się w kregu kontraktacji,
szczępienia świń, szkole-
nia zawodowego i spraw do-
mowych, żony i trojga dzieci,
nie miał czasu na branie ud-
ziału w tego rodzaju konflik-
tach życiowych. Zapatrzył się
ponuro w czubki swoich butów
na gumie, na które oszczędzał
przez trzy miesiące.

— Ach, świetnie, panie Ste-
fanie, przejdziemy się jeszcze
trochę, dobrze? — Chciał jej
odpowiedzieć, że właściwie to
jest zmęczony, zziębnięty i napi-
ły się z przyjemnością gorą-
cej herbaty, ale obdarowała
go miłym uśmiechem, jak wte-
dy w restauracji. Zmilkł.

— Poczekaj, Stefanie, spro-
wadzę pieszka, pójdziemy z
nim na spacer. Piękny jamnik
islandzki — zachwycła się.

— Weszli na schody.

— O tu, niech stanie, przy-
ścinanie — komenderowała uro-
czo. — Niech gzenie ceka,
pójdzie z Zosią i Dzikusiem
na spacer. Dobrze?

Pogłaskała go nagle ciepłą,
pachnącą ręką po twarzy i
zniknęła na zakręcie schodów.
Mieszkała na najwyższym pię-
trze.

Oszołomiony Stefan chuch-
nął w ręce, które mu porząd-
nie zmarzły. Ni stąd ni zowąd
ogarnął go strach. Pani zaczę-
ła znowu opowiadać, każe mu
pewno prowadzić psa, który
będzie obwachiwał wszystkie
drzewa po kole. Potem po-
dziękuję, pożegna i zostawi
zziębniętego na ulicy. I co mu
z tego przyjdzie? A może jed-
nak warto poczekać? „Okazję
trzeba chwycić za rogi jak by-
ka” — tymi słowy zegnali go
koledzy, gdy brał delegację
do Poznania. Czekał więc.

Nagle zauważył, że ktoś
winduje się po schodach na gó-
rę, usłyszał rozmowę, prowa-
dzoną przez dwie osoby, z któ-
rych jedna, sądząc po głosie,
była mężczyzną, druga dzie-
ciem. Stefan ostrożnie cofnął
się do cienia. Wkrótce ujrzał
ich z bliska. Mężczyzna był
niski, w kapeluszu z szerokim
rondem, które osłaniało część
twarzy porożonej zmarszczkami.
Palto miał wynoszone, zmięte.
Chłopczyk natomiast wyglądał
kwitnąco, ubrany był w e-
legancki, zakopiański kozo-
szek. Mężczyzna czapał ciężko
do góry razem z dzieckiem,
obejmując je w pól. W pew-
nej chwili pochylił się i poca-
łował chłopczyka w czoło.

Przycisnął go do siebie, drżał,
reče mu się trzęsły, a twarz
wykrzywił skurcz bólu. Do-
piero gdy go minęli, Stefan
dostrzegł, że mężczyzna niósł
na plecach coś, co przypomina-
ło pakunek. Stefan wysunął
głową do przodu, w tej chwili
tych dwóch oświetliła lampa.
Mężczyzna był garbaty.

— A kiedy tatuś psyjdzie —
spytał chłopczyk.

Znajdowali się już piętro
wyżej. Mężczyzna odpowie-
dział coś niewyraźnie, na co
dziecko pisało:

— Pójdziemy z Dzikusiem
na spacer, dobrze? — Stefan
drgnął.

Byłby to mąż tej pani?
Ale nie zdążył zastanowić się
gruntownie nad tą hipotezą,
bo oto na najwyższym piętrze
skrzypnęły drzwi i mężczyzna
zaczął prędko schodzić. Twarz
jego wydawała się jeszcze star-
sza, a garb na plecach wyska-
kiwał gwałtownie jak u wiel-
błąda.

Na czwartym piętrze roz-
legł się znajomy śmiech i cien-
ki szczek psa. Stefan obudził
się z zamyślenia, zadął głó-
wę i zobaczył zamszowe mo-
kasyny pani, skraj jej futra z
nutrli i białą kudłatą kulę,
toczącą się w dół.

Teraz wiedział, co ma
uczynić. Przed oczami miał
ciągle zniszczoną, zniknącą
twarz mężczyzny i jego kon-
wulsyjne uściski, te pożał się
Boże pieszczoły, jakimi oby-
pywał syna. Jeszcze brzmiał
mu w uszach łamiący się głos
człowieka oszukującego w a-
nogo, nadającego się tylko
do płacenia alimentów.

Stefan cicho zsunął się z
drugiego piętra, ale tamci by-
li szybsi. Piesek szczełał,
skrobiąc łapkami o drzewo
schodów, pani rozmawiała z
nim sepieniąc, już wynurzał
się z zakrętu, gdy nagle Ste-
fan obok siebie dojrzał wnekę
w murze. Ta część klatki była
nieoświetlona. Skoczył do cie-
nia, który zagarnął go przy-
jaźnie. Przycisnął się do zim-
nej ściany, wstrzymując oddech.
Przeszli, pozostawiając po so-
bie zapach perfum. Chwilę
czekali przed domem. Pani za-
wołała nawet:

— Panie Stefanie, panie
Stefanie!

Zbliżył się do okna. Pani
i piesek oddalali się w stronę
parku. Piesek planowo przy-
stawał pod każdym drzewkiem
i piękna pani nerwowo szarpa-
ła smyczą, jakby się wstydząc
nieleżących przechodniów, że
zwierzątko ma pecherz.

Za chwilę był na dole. W
bramie wyjrzał jeszcze, czy
ich nie ma. Ale ulica była pu-
sta. Od strony parku jechał,
zgrzytając przeraźliwie, tram-
waj. Stefan ruszył przedkim
krokiem ku rynkowi. Biegł.
Uciekał od pięknej, interesu-
jącej kobiety, jak od jakiejś
apokaliptycznej bestii. A je-
szcze godzinę temu brałby ją
w ramiona...

Poszedł do restauracji III
kat. Zamówił herbatę. Pił chci-
wie. Gdy przyszło do place-
nia, spojrzął na kelnerkę.
Twarz miała przeciętnie ładną,
ot prosta dziewczyna z jakiejś
podpoznańskiej wsi. Nagle coś
mu strzeliło do głowy. Mrug-
nął do niej okiem.

— A może by tak tego...
Po pracy przeszedłbyśmy się,
co? — chwycił ją za rękę, lecz
odepchnęła go ostro.

— Proszę się nie zapominać,
niech pan nie myśli, że kel-
nerka to zaraz ma być taka...
— zacerwieniła się.

Stefanowi zrobiło się przy-
kro. Może i ona miała swojego
wielbłąda, któremu chcia-
ła jednak dochować wierno-
ści. Wstał od stołu, podszedł
do niej i rzekł cicho:

— Bardzo przepraszam, za-
pomniałem się żar-żar-towa-
łem — tłumaczył się niezręcz-
nie. Był wyraźnie speszony.

Gdy wychodził ona stała w
grupie koleżanek. Śmiały się
z czegoś do rozpuku. — Usły-
szał nawet dość wyraźnie:

— Co za idiota!

Tylko dziewczyna, która mu
podawała herbatę była za-
chmurzona.

CZESŁAW MICHNIAK

Pierwsze spotkanie Mickiewicza z Wielkopolanami

(Dokończenie ze str. 1)

Przyszła chwila wyjazdu z
Berlina. Wspomniany już W.
Cybulski pisze:

„Na pożegnanie jego (Mickiewicza) zgromadzili się je-
szcze raz znajomi. Poeta spotkał
tu reprezentantów wszystkich
części dawnej Polski. Brako-
wało tylko Galicjan. Bawiono
poetę śpiewami patriotycznymi,
narodowymi i ludowymi, o co
szczególnie prosił. Wiele rzeczy
nieznanych zanotował sobie.

Pożegnał się z towarzystwem
już późno. O północy odpro-
wadzono poetę do hotelu. Gdy mu
jego towarzysz podróży hr. Pla-
ter robił wyrzuty, że tak długo
pozostał, wówczas, gdy konie
pocztowe już od godziny cze-
kały, odpowiedział: Patrz na
tych naszych braci, a jeśli masz
serce, odeślesz konie, abyś sam
w ich towarzystwie moment
przeżył, jakich mało w twoim
życiu mieć będziesz. Ale już
wkrótce toczył się powóz go-
ścińcem ku Dreźnie.”

Z tego pobytu Mickiewicz
najczęściej wspominał Wielko-
polan. W liście do Franciszka
Malewskiego pisał później:

„...dla Poznańczyków obywateli
powziąłem szacunek i macie
dowody, że mię na wzajem lu-
bili i najmiliej przyjmowali. Z
nimi w Berlinie ciągle żyłem.”
(Listy, wyd. sejmowe, str.
458.)

W dwa lata później pośród
innych wypadków politycznych
zetrząsł się Mickiewicz ponow-
nie nie tylko z Wielkopolanami,
lecz z ich ziemią i poznał ser-
deczną gościnę ich domów.

Źródła:

1. Adam Mickiewicz. Listy. Wydanie Sejmowe.
2. Dr Wojciech Cybulski. Od-
czyty o poezji polskiej. Prze-
kład z niemieckiego Fran-
ciszka Dobrowolskiego. Po-
znań—Drezno. 1870 r.
3. Józef Jachimiek. Wojciech
Cybulski. Poznań 1930.
4. O. Józefat Ostrowski, Mic-
kiewicz w Wielkopolsce.
1831—1832. Kronika Gostyń-
ska. 1932.
5. Bogdan Zakrzewski. Mic-
kiewicz w Berlinie. „Prze-
gląd Zachodni”. Poznań
1949 r.

Ze starych szpargałów

Kłopot... z szubienicą

Trzeba było w Dolsku ja-
kiegós kultura powieści.
Kłopot był tylko z szubienicą,
której w Dolsku nie było.
Rada postanowiła skazać
prześląc do Krobi z prośbą
o sąsiedzką przysługę — o
wykonanie wyroku.

Krobianie zebrał się na
rynku. Nie pozwolili wyko-
nać wyroku, krzycząc:

Propagujemy olejek muskatelowy

Jeden z księży przy ko-
ściele krobiskim w XVIII
wieku w księdze rachunko-
wej umieścił nie tylko su-
my, ale także przysłówia,
ważniejsze daty i... zalety
olejku muskatelowego.

Oto, jak cudownie działa
to lekarstwo:

„Żołądek zimny rozgrze-
wając posila y zbytnią jego
wilgotność traci. Nadętości

żołądka wiatry rozpędza.
Mózg umacnia y od zawrotu
łowy zachowuje. Wątrobę
posila, apetyt przywodzi,
pot pobudza, bicgunkę za-
stanawia. Sen przywodzi, na
pulsy go przyłoży, bywa
dawany po pięć i kropel aż
do dziesięć w Czymbol-
wiek...”

Kto wierzy, niech spróbu-
je...

To warto przeczytać

Opowiadania o Niebie i Ziemi

Książka Milczarka i Bielickie-
go pt. „Opowiadania o Nie-
bie i Ziemi” — to elementarz
astronomii. Spragniony wiedzy
chłop, Bronisław Kozielec raz na
tydzień przychodzi do nauczy-
ciela i zadaje mu pytania. Gdzie
jest koniec Ziemi? Nauczyciel
odpowiada: Ziemia jest kulą i
nie ma końca. Dlaczego ludzie
na drugiej półkuli nie spadają?
Nauczyciel mówi o sile przycią-
gania Ziemi. I tak co tydzień
inne pytanie. A dlaczego Niebo
jest niebieskie? A skąd się biorą
dzień i noc? A co to jest Słońce,
a co Księżyc? A jak to tam jest
z zamienianiami? Oczywiście Broni-
slaw Kozielec chce też wiedzieć,
co to są komety i „spadające
gwiazdy”. Każda nowa wiadomo-
ść jest w miarę możliwości ilu-
strowana, wyjaśniana przy po-
mocy najprostszyc przedmiotów.
Ten elementarny kurs astro-
nomii odbywa się na tle rozma-
itych pogaduszek i przypowieści.
Jest gderająca matka Bronisła-
wa Kozielec, przystojna Marysia
Czajkówna. Słowem — ta garść
wiedzy podana jest w bardzo
lekkostrawnej formie. Autorzy
nie krepują się po kilka razy
powtarzać najbardziej podsta-
wowe prawdy. Przy czym korzy-
stają z każdej okazji, by rozpra-
wić się z zabobonami i przesąd-
ami, by wykazać „czarno na
białym”, że wszystkie fantastycz-
ne wierzenia krążące wśród ludu
— to oczywiście bzdury.

Po przeczytaniu tej książki za-
stanawiałam się, czy to rzeczy-
wiście jest potrzebne żeby aż
tak przystępnie pisać o nauko-
wych zagadnieniach, tak przy-
stępnie, że czuje się niemal pol-
klepywanie czytelnika po ramie-
niu. Po namyśle doszłam do prze-
konania — że jest po to. „Nie-
biosa” — „Polepywanie po ramieniu” od-
czuje raczej czytelnik już nieco
obznajomiony z tą tematyką.
Ogromna zaś masa czytelników?
Wystarczy wyjechać na byle
jaką wieś porozmawiać z kim-
kolwiek na „astronomiczne” te-
maty, a odczeka nam się kogo-
kolwiek gromić za nadmiar przy-
stępności.

Jest tylko kwestia, czy rzeczy-
wiście taka książka dociera do
czytelnika, dla którego jest prze-
znaczona. Bo nie wystarczy, że
znajdzie się ona w miejskiej bi-
bliotece czy w księgarni. Ten od-
biórca istotnie może wzruszyć
ramionami i odłożyć książkę. Cel
tego rodzaju wydawnictwa zo-
stanie w pełni osiągnięty jeżeli
dostanie ją w ręce również
chłop, jeżeli przeczyta się ją w
wiejskiej świetlicy. O tym po-
winni pamiętać zarówno popula-
ryzatorzy wiedzy, jak i ci, co ją
kolportują.

St. O.

*) Wł. Milczarek, M. Bielicki.
— „Opowiadania o Niebie i Ziemi”.
Wiedza Powszechna —
Warszawa 1954, str. 123. Cena
2,80 zł.

FILM

„WESOŁE GWIAZDY”

Nie jest bynajmniej tajem-
nicą, że komedia filmowa
przechodzi silną anemię. Cho-
roba ta dotknęła nie tylko na-
szą kinematografię. Dowodem
tego były liczne głosy w wiel-
kiej dyskusji o dramaturgii,
twórczości i krytyków ZSRR.
W której mówiono o komedii
wiele i krytycznie. A ponie-
waż widzowie pragną oglądać
więcej dobrych, satyrycznych
i wesołych filmów, radzieccy
filmowcy przystąpili do
zwiększenia produkcji w tym
kierunku.

Doskonały, pełen humoru
„Dygnitarz na tratwie” z
pewnością nie jest jedyną do-
brą komedią, którą nakręcono
ostatnio i które kreśli się obec-
nie w ZSRR. Ale tak już
dzieje się w twórczości arty-
stycznej, że obok rzeczy do-
brzych powstają mniej udane.

Film „Wesołe gwiazdy”
składa się zasadniczo ze sfil-
mowanych numerów satyrycz-
nego przedstawienia estradowe-
go. W tym miejscu przy-
chodzi na myśl pojęcie „a” z
naszego podwórka. Toć prze-
cież zlekompensować scenarzysta
utworzonego z luźnych frag-
mentów, nie ujętych w
jednolity dramatycznie kształt
— była grzechem nr 1
naszej „Sprawy do załatwie-
nia”. Tam pianino i Zosia,
tutaj Stępsel i Tarapunka
są tylko statystami. W koń-
cowej, długiej części filmu
występują jedynie (i dosłow-
nie) w roli konferansjerów.
Odnosimy wrażenie, że nie o
ni, lecz teatr bardziej obcho-
dzi reżysera filmu. Zbyt do-
słowne przeniesienie estrado-
wych występów na ekran,

„nieufilmowienie” ich — od-
biło się ujemnie na kompozycji
filmu, rozszpeciło jego
satyryczne ostrze na kilka
pomniejszych, godzących w
rozmaite kierunki. Satyra na
zarozumiałstwo, rutynier-
stwo, lekceważenie młodych,
brakorobstwo, kosmopolit-
yzm w malarstwie — wszy-
stkiego tu po trochu i wszyst-
kiego za wiele jak na jeden
film.

Zapewne chęć szukania ory-
ginalnej formy skłoniła re-
żysera do stosowania pew-
nych chwytów, które, nieste-
ty pogłębiły niedostatek sce-
nariusza i przyczyniły się do
tego, że niektóre partie filmu
budzą w widza wątpliwości
co do ich prawdopodobień-
stwa.

Granica groteski jest bar-
dzo cienka. Pędzel, który sam
skacze po płótnie — to może
się wydawać dziwne wpraw-
dzie, ale jeszcze prawdopodob-
ne. Widz przypuszcza, że
efekt ten uzyskano na sce-
nie przy pomocy skompli-
kowanych urządzeń — widzi
bowiem, że wypadki mają
charakter realny. Jednak z
chwila, kiedy reżyser zaczy-
na stosować trzaski czysto
filmowe, kiedy żywi ludzie
„zaczynają” pojawiać się i zni-
kać jak duchy — wówczas
groteska przekracza granicę
realizmu, a widz po prostu
gubi się i nie wie, co dzieje
się „naprawdę”, a co jest ko-
micznym „kinem w kinie”.

Lalka, którą wnoszą w ma-
łym pudełku, może mówić i
ruszać się jak żywy człowiek
— ale widz musi wiedzieć, że

jest ona do końca małą la-
lecką. Nawet wtedy, kiedy
grana jest przez aktora, nie
może w finale urosnąć rap-
tem do rozmiarów normalne-
go człowieka, gdyż przez to
uniemożliwi realizm poprzed-
nich scen.

Efekty trickowe w rodzaju
„kina w kinie” mają swoją
tradycję. Już w filmach o-
kresu francuskiej awangardy
pogrzebowi goście znikali jak
kamfara pod dotknięciem la-
secki zmartwychwstałego nie-
boszyka. W filmie „Antoni
Iwanowicz gniewa się”, J. S.
Bach wychodzi z obrazu, by
po przyjaźnielsku porozma-
wiać z upartym profesorem.
Ale w pierwszym wypadku
wiadomo, że jest to w calo-
ści groteskowy żart, w dru-
gim — że rzecz dzieje się we-
śnie profesora. Pretekst do
tricku tak czy owak jest uza-
sadniony. Inaczej w „Weso-
łych gwiazdach”. Pomiesz-
anie dwóch konwencji bez po-
rozumienia czegoś „mrugnie-
cia” w stronę widza — za-
chwiała w rezultacie równo-
wagę całego filmu.

Wrażenia te w pewnej mie-
rze łagodzają przyjemne me-
lodie, dobry teatralny fragmen-
t „Lalini” — Małakowskiemu o-
raz występy baletu. Łagodz-
a — ale bynajmniej nie uspra-
wiedliwiając niesłusznie oce-
ny Centrali Wynajmu Fil-
mów, która ten wyraźnie
nieudany film zakupiła, za-
pewne ze szkoda dla innych,
wartościowych, reprezentu-
jących właściwie dorobek kine-
matografii radzieckiej.

JANUSZ BINIEK

Tu sęk, a w sęku dziura

czyli poznańska Starówka w nietrwałej (?) szacie

Niedawno odbyło się rozdzielanie nagród w konkursie zamkniętym na polichromię Starówki poznańskiej. Warto tej sprawie kilka uwag fachowych poświęcić:

- polichromii na wolnym powietrzu jako takiej
- polichromii specjalnie w wypadku Starówki poznańskiej.

Znana jest historykom sztuki wiekowa trwałość takich polichromii na południu Europy. Nie tylko klimat, ale i znajomość chemicznych składników farb przez malarzy włoskich sprzyjały tej trwałości. Gorzej wyglądają sprawy trwałości polichromii na wolnym powietrzu już w Bawarii. Wprawdzie Kaulbach, Rottman i inni naśladowali południowców i trzeba przyznać, że Niemcy nie są ignorancjami w fabrykacji farb; niestety i tutaj dzisiaj mało co, albo raczej nie — nie zostało się z dawniejszych koncepcji. A przecież Niemcy wymyśliли technikę zastrzykiwania powierzchni fresków szklivem, które pokrywało pigment wrażliwy na korozję. Zupełnie inaczej wygląda ten rozdział malarstwa w Polsce.

Kosztowny

brak umiejętności

Ale nie od dziś, od dawien dawna, nieznanym jest naszym malarzom pigment chemiczny trwały, który by przetrwał ostry klimat, deszcze, wiatry i mrozy przez lat dajmy na to 10. Już nie miliony, ale jeśli weźmiemy ołówek do ręki, w jednym wieku w całej Polsce po samych kościołach miliardy rzucały w błoto, a to jest polichromia pod dachem. Co kilka lat robi się poprawki, czyli odświeżania a po odświeżeniu znów odświeżenie, a w końcu widzimy bohomyz w niczym niepodobne do oryginałów. To wściekle nieuctwo naszych malarzy sprawiło, że miliony giną w przepastnej czeluści nieświadomości. (W Farze poznańskiej na stropie stwierdzono, że pewien malarz pozwolił sobie malować polichromię „na olejno”).

Naiwność niektórych sztalugowców jest fenomenalna. Polichromia na makiecie? Owszem, ale przede wszystkim zapytujemy, jakich barw i kolorów chemicznych używać się będzie przy realizacji projektów? Kto zagwarantuje trwałość polichromii na 10 lub 25 lat?

Trzeba

intensywnie pomyśleć

Dlatego dobrze się stało, że jurorzy nagrodzili i do wykonania przeznaczili pracę młodego scenografa, który okazał się mistrzem w tonacji barw. Jeśli weźmiemy się pod uwagę wszystkie prace kolejni, to nagrodzona praca (nr 2) uderza swoim spokojem. Wydawałoby się „gris en gris”, ale bliżej patrząc mieni się od pół- i ćwierćtonów, słowem w tej gamie szarej wre życie kolorystyczne.

Czy projektodawcy sztalugowi wzięli pod uwagę, że najszybciej ucierni własne północne strona. Ostrość kolorów zagina. W klimacie polskim nie błękit, nie indygo, nie karmin, nie chrom, nie cynk się ostoi. Szarym jest nasz krajobraz, szara jest nasza Wisła i sina; gdzie artyści ucyli się zatem na fasadach malować kwadratury barwne, neglując zupełnie funkcjonalność linii architektonicznej? Polichromia barwna podkreśla tylko architekturę i jej linie dynamiczne, a nie rozrywa jednoci, podporządkowuje się całości, ale nie przekreśla jej. I to dziwne, że prawie wszyscy robią ten sam błąd zasadniczy: rozrywając jednoci architektoniczną.

Co się robi z Ratuszem?

Trzeba podkreślić, że nagrodzony projekt nr 2 ominął ten błąd tylko przypadkowo, bo uratowały go piony rynien, które trzeba by tylko więcej podkreślić, zaakcentować.

Na najwięcej sztalugowy romantyzm pozwolił sobie projektant nr 9 (pozakonkursowy). Tam karminy triumfują, wesołość, krzykliwość barw; co z tego pozostałoby za 25 lat w atmosferze przemysłowego niemal miasta i tysięcy innych kominów, gdzie sadze, dymy, gazy i węgiel zjedzą wszystkie jaskrawości? Niech się przy-

patrzy projektant nr 9 polichromii na Ratuszu poznańskim.

Wykonana niespełna przed rokiem, już dzisiaj biel przemieniła się w brudny krem. Jak zmienił się nawet czarny kolor? Co będzie za 10 lat? I niestety ci romantycy — sztalugowcy mają dzisiaj głos decydujący, a Państwo płaci olbrzymie kwoty. Przecież prawdę mówiąc, my robimy u nas w Polsce wielki eksperyment pod względem trwałości farb na starówkach w Warszawie i w Gdańsku. Kto chce ponieść odpowiedzialność za trwałość tych efemerycznych malarskich?

Wycięg malarza... klimatu

Nagrodzona praca konkursowa słusznie zupełnie nie uwzględniła karminu „Czerwonej Apteki” i posłała swoją własną drogą. Inni znowu projektodawcy ze względu na nasz ostry klimat i na stan chemiczny naszych barwników — operują przezornie kolorem czarnym — nieświadomi jego znaczenia w fasadzie. Wszyscy są powściągliwi w figuralnej ornamentyce, czują wprost tę niepewność w realizacji i trwałości. Pierwsza nagroda pod każdym względem góruje w ocenie walorystyki tonu i docenia ważność obiektu. Proszę popatrzeć na Pałac Działynskich: architektura gra, a na wydzwieku szczytowym nie operuje projektant mlecznobiałym tonem, jak inni.

Projektanci nr 4 i nr 9 lubują się w kłaczach rozrywających zupełnie architekturę i w „jajecznicę” — tak nie-

bezpiecznej właśnie, gdy ją zabrudzą sadze i węgiel.

Trzeba było widzieć patynę miedzianych hełmów gdańskich kościołów i ratusza w Gdańsku albo w Dreźnie — z takim właśnie taktem i dyskrecją potrafił projektant nr 2 podkreślić budynek SARP-u (południowej polaci) złotym szlakiem szczytu. Jak powściągliwy jest ze złotymi tonami. Jeśli więc tylko uda się zagwarantować polichromię projektanta jeszcze pod względem chemicznym barw i trwałości na lat co najmniej 25 w naszym ostrym klimacie, konkurs spełni swój cel i zadanie. W każdym razie już na makiecie projektodawca nr 2 zrobił duży krok naprzód, uprzedzając węgiel i sadzę — spatynował całość. Zobaczymy, kto tu będzie lepszym malarzem? Pedzel malarza, czy pedzel nieznanym naszym sztalugowcom: klimat naszego kraju.

*) Mowa o Zbigniewie Bednarowiczu — przyp. red.



Widok śpiących na ulicy nędzarzy nikogo nie dziwi. Każdego może jutro spotkać ten sam los. Ze snu może się jeszcze podnieść... a może na ulicy zakończy życie.

(zdj. autora)

Mózg a świadomość 1)

Dech, oddech, tchnienie?

Jeśli zapytać na przykład mieszkańców Wysp Hawajskich, co to jest dusza (w ich języku „uhane”), powiedzą oni, że jest ona po prostu powietrzem. Od zwykłego powietrza „uhane” różni się jedynie większą gęstością, jest cenniejsza. Dlatego jest niewidzialna, przynajmniej dla zwykłych śmiertelników. Tylko „kapłan duchów należących do przodków” („kahuna”) może duszę spoznać, rozpoznać, a nawet w chwili, gdy opuszcza ona umierającego — zaklać odpowiednimi formułkami magicznymi i zmusić do powrotu, na nowo odżywając z natury zimne i nieruchome ciało.

Istnieje wiele przekonywających dowodów, że i nasi przodkowie w sposób bardzo podobny pojmowali „naturę” duszy. Świadczy o tym m. in. etymologia słowa „dusza”. W językach słowiańskich związek między duchem i duszą a słowami: dech, oddech, tchnienie — jest oczywisty. Podobnie rzecz się przedstawia w innych językach aryjskich. „Animus” łaciński, to odpowiednik greckiego „anemos”, — wiatr. „Pneuma” — grecka nazwa kościelna ducha, oznacza zarazem tchnienie, dech, to, co dmie.

Zbieżność nieprzypadkowa

Tożsamość źródłowa w wyrazach dusza, dech, oddech — występująca w językach różnych narodów, reprezentujących różne kultury i kontynenty, jest uderzająca, ale przy tym łatwa do wytłumaczenia. Wśród zjawisk przyrody, które zwracały na siebie uwagę, pierwotnego człowieka, obok błyskawicy, deszczu, wybuchu wulkanu itp. niewątpliwie także była sprawa śmierci. Była jedną z zagadek szczególnie natężała, domagała się jakiegoś wytłumaczenia.

Dlaczego człowiek, o ile nie śpi, póki żyje — porusza się, szuka świadomego pożywienia, wie co się wokół niego dzieje? W razie potrzeby broni się przed niebezpieczeństwem, martwi się, cieszy, odczuwa ból lub przyjemność, pamięta, przewiduje. Pragnie? W chwili śmierci zaś dlaczego ciało jego upodabnia się do

nieczułego na nic kamienia? Jak wytłumaczyć całą tę różnicę między człowiekiem żywym i czuwającym a człowiekiem martwym, między człowiekiem przytomnym a człowiekiem, który zapadł w głębokie omdlenie lub który twarde usnął? Dalej — na czym polega różnica między człowiekiem i zwierzęciem z jednej strony a roślinami lub przedmiotami nieożywionymi z drugiej?

Widocznie — rozumował człowiek pierwotny — w ludziach, póki żyją, siedzi „coś”, co porusza ciało ludzkie w podobny sposób, jak człowiek porusza swoim ubraniem, bronią. „Coś” — jakaś druga istota, która wychodzi z nas w chwili śmierci (a czasami — na okres przejściowy — opuszcza ciało człowieka wówczas, gdy mdleje on lub głośnie zasypia), coś, co do chwili zgonu jest przyczyną życia oraz uczucia i świadomości.

Albo czym to „coś” jest?

Niektóre ludy podejrzewały, że to krew, serce. Najczęściej jednak uwagę prymitywnego człowieka zwracał oddech. Niewidzialny, wciąż z ust wypada i wraca do wnętrza niemal niepostrzeżenie... Więcej, przecież ustanie oddechu — to najpierwsza oznaka śmierci!

A więc oddech, to nie tylko po prostu oddech, lecz ów tajemniczy sprządek życia i zjawisk psychicznych: duch, dusza.

W miarę rozwoju kultury, rozwoju krytycyzmu w myśleniu, pojęcie ducha i duszy, rzecz jasna, komplikowało się. Duch wyparł się bliskiego powiązania z oddechem. W istocie jednak nawet dziś dusza w sensie metafizycznym i idealistycznym pozostała tym samym, czym była dla człowieka pierwotnego. Pozostała owym tajemniczym „czymś”, co ma wyjaśnić różnicę między człowiekiem żywym a martwym, czymś, co „siedzi” w człowieku, póki on żyje. Pozostała czymś zasadniczo od ciała człowieka różnym, niematerialnym, nieuchwytnym, ze zrozumieliśmy względów niesprawnym, a jednak — w myśl wierzeń — kierującym całą psychiką ludzką.

Pytanie wymagające odpowiedzi

W języku naukowym używa się jeszcze czasami określenia „du-



Moja mała przyjaciółka czuje się pewnie, gdy utrzymuje stały kontakt z mamą.

Wcześniej rano stanęliśmy w Karachi przy nabrzeżu. Była niedziela. „Na kei” oczekiwały nas tłumy handlarzy. Z krzykiem oferowali swoje lusterka, świecidełka i naszyjniki z kolorowych szkiełek. Wszystko to wyprodukowano specjalnie dla nich w Europie i Ameryce, a teraz na siłę chcą nam sprzedać!

Nie decydujemy się na kupno kolorowych szkiełek „Made in USA”, ale prawie każdy z nas z przyjemnością zapatrzył się w eksponaty egzotycznej fauny morskiej: rybę-pilę i przepiękne muszle morskich indyjskich.

W porcie dokuczają upały i moskity, różnego rodzaju szkodliwi i pigułki przeciw tyfusi, ospie, cholerze i jeszcze kilku innym chorobom oraz nędza, niesamowita nędza, z którą spotykamy się na każdym kroku.

Kilkunastu „medyków” weszło na statek; każdemu spotkanemu członkowi załogi proponują usunięcie odcisków bezboleśnie i bezpowrotnie. Cały sprzęt operacyjny to coś w rodzaju naszej drewnianej cygarniczki, przy pomocy której wysysa się odcisk. W kolorowym tłumie spostrzegłem starych znajomych z poprzednich rejsów: czekoladową sześciolletnią dziewczynkę z matką i młodszą siostrą.

Starsza dziewczynka wdrapała się po trapie na statek i — ku mojemu wielkiemu zdziwieniu powiedziała po polsku „daj”, wyciągając przy tym rączkę jak mój mały Piotruś. Tak się odnowiła nasza „stara” przyjaźń.

Każde przybycie polskiego statku jest dla sporej gromady starych i młodych Hindusów wielkim przeżyciem i świętem. Mają wtedy kilka sytych dni i nowe okrycia z naszych koszul.

W mieście setki różnych ludzi napada wprost na zagranicznego przybysza. Jedni oferują sprzedaż różnych towarów, inni proszą o wsparcie, jeszcze inni chcą być przewod-

Notatki marynarza z podróży do Indii (2)

Na ulicach Karachi

Trzeba im płacić za każdą najdrobniejszą nawet przysługę. Na ulicy panuje niesamowity zgłęb i krzyk. Wśród tłumu uwijają się samochody, rzadkie ryksze motorowe i „deptane”. Tych ostatnich setki. Jeżdżą po mieście szukając pasażera.

Na ruchliwych ulicach Karachi niepodzielnie panują handlarze. Towary wypełniają sklepy, stragany i kieszenie. Na ulicy można nabyć: igłę z nitką, guzik, każdą walutę, drogie, bardzo drogie kamienie, których rzeczywista wartość... równa się zeru. Są to bowiem falsyfikaty, a w „złoty” kolczykach nie ma ani jednego diamentu.

Handlarze polują przede wszystkim na cudzoziemców, którzy są tej ziemi przekleństwem. Chyba dlatego każde oszukaństwo daje Pakistańczykom wielką satysfakcję i całkiem wite rozgrzeszenie u Mahometa. Nienawidzą do Europejczyków — ściślej Anglików i Amerykanów — odczuwa się w każdym spojrzeniu pozornie pokornego handlarza.

Na ulicy za kilka anów można zaciągnąć się odurzającym dymem haszyszu. Na ulicy fryzjer strzyże i goli. Na ulicy wreszcie „dentysta” wyrwa zęby zardzewiałymi kleszczami.

Prawdziwi lekarze i dentyści są tylko dla bogaczy.

Biedne Hinduski trzymane w ryzach przesądów i nakazów religii mahometańskiej zasłaniają sobie twarze jak przed wiatrem. Nie wiedzą także nic o równoprawności kobiet, o tym, że przysługują im prawa człowieka. Na chodnikach spotyka się przerażliwie chudych, śpiących ludzi. Dzisiaj śpią z wycieńczenia, jutro, być może, nie będą między żywymi. Przechodnie mijają ich obojętnie. Wiedzą, że jutro może ich spotkać ten sam los. Tysiące rodzin głoduje całymi dniami, bez dachu nad głową i kawałka szmaty na ubranie.

Jest w Karachi dzielnica, gdzie stoją budy z gliny, szmat, błach, mat słomianych i innych odpadków. To w brudzie i kurzu gnieźdzą się tysiące rodzin nędzarzy. Trudno opisać to kocowisko. Trudno nie poczuć nienawiści do zbrodniarzy, dzięki którym ci ludzie żyją w takich warunkach.

W Pakistanie głodni są nie tylko bezrobotni, których jest miliony. Głodni są często nawet ciężko pracujący. Robotnik portowy na przykład zarabiał do trzech rupii dziennie, tj. około trzy czwarte dolara. Jego pożywienie, to ryż i kasza. O innych środkach odżywczych nie ma mowy.

Ulicami snuje się tysiące kalek, matek z ułomnymi dziećmi, które podchodzą do przybysza zawsze z tą samą formułą „no mama, no papa, bakszisz”. Nie można opędzić się od żebraków. Kulisi i taksówkarze tajemniczym głosem proponują: „Chinese girl, cold beer” itd.

Wśród tego morza nędzy wznoszą się wspaniałe pałace i świątynie. W miastach stoją pomniki angielskich zdobywców, pod którymi śpią bezdomni i umierający. Dzisiaj jeszcze śpią i umierają z głodu, lecz coraz więcej zaczyna się budzić z odrętwienia, które trwało przeszło pięć stuleci. Coraz częściej słychać głosy protestu.

Ludom Azji przyświecają gorące serca narodu chińskiego, koreańskiego i wietnamskiego, które pokazały, że bez opiekunów imperialistycznych można żyć, i, co więcej, można ich zwyciężać.

HENRYK ZALEWSKI

T. Jędrzejewski

ZAKOPANE w śniegu i w gipsie

Teoria ...

... i praktyka

PTT-K... ustanawia instytucję raidów narciarskich... w trosce... o zapoznanie narciarzy z warunkami krajoznawczymi naszego kraju (z regulaminu raidów narciarskich PTT-K).

Tempo raidu PTT-K "Wzdłuż Tatr" było tak orsowne, że jego uczestnicy po prostu nie mieli czasu na oglądanie gór.

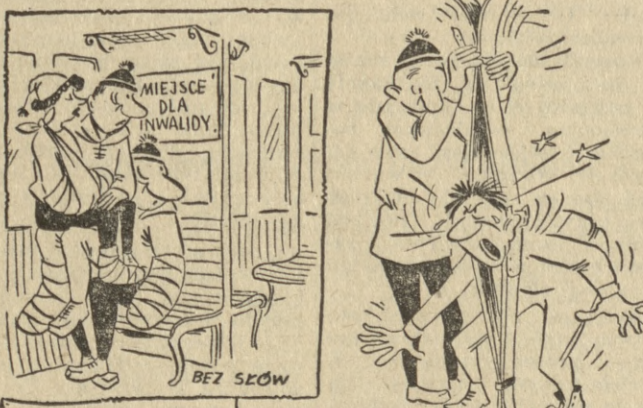


A JAK WYGLĄDAJĄ GÓRY, ZOBACZYMY SOBIE NA OBRAZKU W SCHRONISKU LUB W DTTK W POZNANIU

W SCHRONISKU (A RACZEJ W PENSJONACIE) NA HALI GASIENICOWEJ



-NIE NARZEKAJ! NIE WIDZISZ, ŻE TO SĄ SAME A-S-Y?



-MÓWIEM ZEBYS NIE SPINAŁ NART GDY SZNURUJES BUTY!



podpatrzył: H. Derwich

KRYTYKA i MIŁOŚĆ

Kolektyw krytyków zapadł w głębokie, analityczne zamyślenie. Przyczyną był obraz przedstawiający wielką dziewczynę, która otulona chustą siedziała na ławie przed chatą. Chatę otaczały kwitnące jabłonie. Na niebie migotały gwiazdy i świecił księżyc.

— Hm — mruknął przewodniczący kolektywu zwany Pierwszym Krytykiem — rysunek bez zarzutu, kolory wspaniałe, oryginalna kompozycja światła. Ale chatę stanowczo nie jest potraktowano po chłopsku. Linie belek za subtelne, dach taki delikatny, światła w oknach za ciepłe. Całość niepokojąco statyczna, a czy taka statyczność nie prowokuje do nierobstwa?

— Jasne, że prowokuje! — odrzekło kolegium.

— Te jabłonie — ciągnął dalej Pierwszy Krytyk — te kwiaty są przesubtelnione, nadmierne wzruszają swoją misternością. Płatki posrebrzane księżycowym światłem lśnią w urzekająco-demobilizujący sposób. Obawiam się, że to pierwszy krok do samouspokojenia.

— Oczywiście, że jest! — zaszumiło kolegium.

— Dziewczyna — przemówił znowu przewodniczący — dziewczyna moim zdaniem pozbawiona jest zupełnie realizmu. Popatrzcie na te włosy. Utkane jakby z promieni słońca i księżyca. Oczy zamglone. Nie trudno odgadnąć, o czym dziewczyna myśli w tę noc majową... Ta postać rozsentymentalnia, a więc...

— Rozbraja! — krzyknął kolektyw.

— Bez wątpienia — kontynuował Pierwszy Krytyk — rozbraja, a obraz, który rozbraja, nie ubojowia, a więc wpływa destruktywnie na otoczenie. Artysta wnosząc sielankową atmosferę do obrazu prowokuje do wzruszeń, które stępują czujność.

— I jak jeszcze! — dorzucił kolektyw.

— Maluje księżyc a zapomina o aktualnych problemach wsi. Gwiazdy i kwitnące jabłonie są, a gdzie, pytam, kontraktacja lnu?

— Gdzie, ach, gdzie? — spytało kolegium.

Artysta tego typu malarstwem może obniżyć normę dojenia krów, do czego, rzecz jasna, nie wolno nam dopuścić. To jest, krótko mówiąc, apoteoza bumelanctwa na odcinku wiejskim. Stawiam wniosek, aby obraz odrzucić.

— Odrzucamy, odrzucamy, precz! — krzyknęli wszyscy.

Minął rok.

Któregoś dnia spotkałem na ulicy malarza, którego obraz poddano tak wnikliwej i dogłębnej krytyce. Na policzkach miał gorączkowe rumieńce, w oczach szczęśliwe szaleństwo.

— Wyobraź sobie! — krzyczał, konwulsyjnie potrząsając moją ręką — wyobraź sobie — przyjęli!

— Kogo, co, gdzie i kiedy?

— Zgłosiłem ponownie swoją pracę na wystawę. Kolektyw krytyków tym razem wydał pozytywną opinię i obraz przyjęli.

— Nowy prąd?

— Nie. Do nich jeszcze nie dotarł.

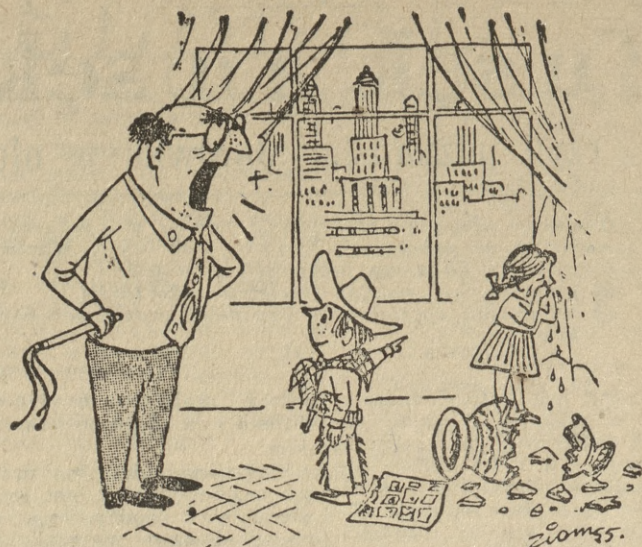
— Nowy przewodniczący, drugi Pierwszy Krytyk?

— Nie, ten sam.

— A więc?

— Zakochał się!

PAWEŁ REWICZ



W U.S.A.

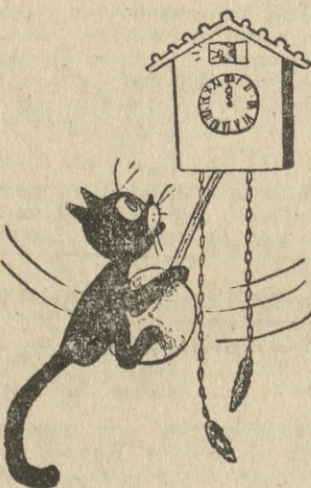
— Czy wiesz, smarkaczu, co dostaniesz za fałszywe oskarżenie?

— Nie wiem, ale w sądzie dostałbym 100 dolarów...

Rys. Zb. Ziomecki



Gdy lekarz czuje się źle...



— Nie, ptaszyno! Złapię cię tak czy owak!

Od kilku miesięcy powstaje w Poznaniu pismo literacko-kulturalne „Nurt”

Nurt
czy cicha
woda? ...



rys. F. Śmiełowski

Z przysłowiami ostrożnie!

Nauczyciel jest w dobrym humorze i zwraca się do uczniów: „Zajmiemy się obecnie przysłowiami. Kto z was mógłby jakieś powiedzieć?”

Zgłasza się piegowaty Karolek i mówi: „Głupi pyta więcej, a niżeli dziesięciu mądrych może odpowiedzieć”.

Nauczyciel kiwa głową, ale po chwili krzywi się: „powiedz inne”...

Karolek myśli i recytuje po chwili: „Mądry głowie dość dwie słowie...”.

Nauczyciel zaczyna się niecierpliwić i patrzy groźnie: „Znajdź jakieś inne”.

Ten odpowiada lekliwie: „Do trzech razy sztuka”.

Do klasy wchodzi kierownik szkoły, nauczyciel opowiada mu o kłopotliwych odpowiedziach Karolka. Kierownik głaszcze chłopca po głowce i mówi: „A teraz powiedz mnie jakieś przysłowie”.

Karolek bez wahania odpowiada: „Nieszczęścia chodzą w parze...” i za karę idzie do kąta.

W następstwie tych wypadków — po lekcjach, otrzymuje list do ojca, aby ten przyszedł do szkoły na rozmowę z nauczycielem i kierownikiem. Kierownik wskazuje mu krzesło i pyta: „Co pan nam powie na temat zachowania się Karolka?”.

Ojciec chwilę zastanawia się i odpowiada: — „Niedaleko pada jabłko od jabłoni!”... (f)

THN

Wiersz na powitanie wiosny

Spójrzcie w kartki kalendarza:
to już wiosna według daty!
pora znów, by w kałamarzu
stare odgrzebać tematy.

Słońko wstaje — rzecz to znana —
coraz wyżej bez ustanku;
(może kiedyś i Wiesze Adam
stanie u nas którymś rankiem?)

Lecą zapewne bociany
poprzez morza, rzeki, góry
(ciekawe czy dosyć mamy
wyprawek dla syna, cór?)

Niebawem zakwitną bazy,
runią pokryje się ziemia —
(tłok w tramwajach, i na razie,
ach, sposobu na to nie ma...)

Słychać już kosa gwizdanie
i ławki wnet w parkach staną,
(Na Rynku Starym, mój panie,
Dwóch zer znów nie przewidzian)

Rym do wiosna — to radosna
Śnieg roztapia się już w wodzie
(Chcesz w Pedecie krawat dostać,
no, to taki, co nie w modzie!)

Spójrzcie w kartki kalendarza —
zaglądacie... gdzie ten marzec?
(W kalendarzach też się zdarza
że brakorób nos pokaże...)

Nikną śniegi, tają lody,
dzięki słońcu, dzięki wiosnie,
może znikną również (oby!)
bóle stare i nieznośne...



— Oto ostatni krzyk mody
w dziedzinie urzędowania wnętrza!
Wszystko jest wbudowane...